

Andrzej Krajniak, Maria Zajączkowska

OKRUCHY PAMIĘCI O ŻYCIU RODZINY TYLISZCZAKÓW Z JASTRZĘBIKA

*Moją Łemkowsynę przysypało śniegiem
niespodzianie z nocy
że ani wiatr nie zadzwonił
do okien dzwonnicy
ani ptak nie zaskrzeczał
czarny
I dlatego
czarno-biała cerkiew
chata i młyn rozebrane
w czterdziestym siódmym...*

Władysław Graban, *Refleksja*,
z tomu *Na kolpaku gór*

Muszyna, moje rodzinne, ukochane i magiczne miasto, sięgające korzeniami daleko w przeszłość, dumna ze swej historii nieprzerwanie dokumentowanej od początków XIII wieku i wyjątkowego statusu „państwa muzyńskiego”. Miasto na pograniczu polsko-węgiersko-słowackim, otwarte dla przybyszów, handlujące z sąsiednimi krajami i przyciągające artystów. To kochane miasto jest miejscem zaczarowanym, urzekającym pięknem przyrody, serdecznych ludzi i poezją kryjącą się w każdym zakamarku. Muszyna, moje miasto, ma też swoje tajemnice.

O jednej z „nowych” tajemnic słów kilka. Do gminy Muszyna należy wieś Jastrzębik, najbardziej tajemnicze miejsce w gminie. W różnych opracowaniach, opisach i badaniach pojawiają się materiały o Muszynie i wszystkich okolicznych miejscowościach, tylko nie o Jastrzębiku. Oczywiście ma to swoje uzasadnienie w tym, że wieś była mała, biedna i do historii Muszyny nie wniosła spektakularnych wydarzeń.

Warto jednak prześledzić dzieje tego miejsca. Nie dysponuję archiwaliami i nie chcę sięgać w daleką przeszłość, chciałabym tylko rzucić małe światełko na niedawne dzieje tej wsi, a szczególnie osób z nią związanych. Będą to okruchy wspomnień, refleksje ludzi, którzy wywodzą się z Jastrzębika, a dzisiaj usiłują odpowiedzieć na pytanie: skąd nasz ród? Osobiście jestem tylko kronikarzem, dlatego nie będzie to opis, a cytowanie osób spotkanych na portalu internetowym „nasza-klasa”. Postaram się rzetelnie przedstawić ich refleksje. Może znajdzie się ktoś, kto uzupełni je relacjami z badań.

Jastrzębik, wieś położona nad potokiem o tej samej nazwie. Lokowana na prawie wołoskim w 1577 roku przez bpa Piotra Myszkowskiego, przywilejem nadanym Piotrowi Tyliszczakowi z Krynicy.

Tyle mówi strona internetowa Miasta i Gminy Muszyna. W informacji na stronie znajduje się zapis o powstaniu cerkwi, ale w notce tej nie ma historii ludzi, którzy tam mieszkają. Nic o mieszkańcach i ich dziejach... A to dzięki nim i dla nich ta cerkiew powstała i dotrwała do naszych czasów. Ci cisi mieszkańcy Jastrzębika nie doczekali się nawet wspomnienia o tym, co się z nimi stało.

W opracowaniu Władysława Buszka *Rody muszyńskie* w roku 1807 pojawia się ród Tyliszczaków. Skąd się w Muszynie pojawiła ta rodzina i co łączy Piotra Tyliszczaka żyjącego w XVI wieku z tymi, którzy mieszkają w Muszynie do dzisiaj? W wielu artykułach publikowanych w „Almanachu Muszyny” można znaleźć wzmianki o tym, że mieszkańcy okolicznych wiosek zamieszkiwali w Muszynie i polonizowali się. W „Almanachu Muszyny” z 2008 roku Kazimierz Przyboś pisze:

Z księgi przyjąć do prawa miejskiego wynika, że do Muszyny (poza „rodzicami muszyńskimi”) najwięcej było z klucza muszyńskiego, 7 z miejskiego Tylicza i 43 z pobliskich wsi...¹

W podobnym duchu wypowiada się Witt Kmietowicz w „Almanachu Muszyny” z roku 2005:

Mniej odrębności występowało w stosunkach z grekokatolicką czy prawosławną ludnością, zamieszkałą w okolicznych wioskach. Zdarzało się nawet dość często, że Rusini (Rusnacy), nazwani potem Łemkami, osiedlali się w Muszynie i szybko polonizowali. Awansowali społecznie, sięgając po funkcje rajców, a nawet burmistrzów...²

W tej sytuacji nie może dziwić, że wśród muszyńskich rodów pojawiają się Tyliszczakowie. A co działo się w Jastrzębiku – mateczniku Tyliszczaków?

Nie mam możliwości przesłania losów Piotra Tyliszczaka i jego rodziny, ani weryfikacji ruchów ludności z wykorzystaniem archiwaliów. Można jednak przytoczyć wspomnienia tych, którzy tam żyli do 1947 roku. Niestety, nie będą to relacje z pierwszej ręki. Ci, którzy tam się urodzili i mieszkali, są już ludźmi wiekowymi, rozproszonymi po Polsce i świecie. Konieczność milczenia przez lata PRL-u nie sprzyja wylewności. To ich dzieci i wnuki szukają odpowiedzi na pytanie o swoje korzenie. To oni będą rzeczywistymi autorami relacji. Oddajmy głos Andrzejowi Krajniakowi, synowi Wacława Krajniaka, wywiezionego w wieku kilkunastu lat z Jastrzębika, i wnuka Anastazji z Tyliszczaków.

Oto jego relacja:

Jastrzębik

Ludzie

Wieś była czysto łemkowska. Nie mieszkała tu żadna polska rodzina. Na 118 domów była tylko jedna rodzina żydowska i jedna cygańska. Żydzi mieli jakiś sklepik, a także zajmowali się skupem od chłopów bydła oraz jego sprzedażą w mieście. Mieli również swoje dwie krowy, chociaż nie posiadali ziemi. Cyganie też byli typowi, czyli bieda

¹ Kazimierz Przyboś, *Księga przyjąć do miasta Muszyny*, „Almanach Muszyny” 2008, s. 33–42

² Witt Kmietowicz, *Muszyńscy mieszczanie*, „Almanach Muszyny” 2005, s. 29–41.

z nędzą. Grali na weselach i innych uroczystościach – dwóch na skrzypcach, a jeden na basach. Ponadto zajmowali się kowalstwem. Jednak podstawowe źródło ich utrzymania stanowiło chodzenie „po prośbie”. Kiedy stara Cyganka przychodziła do gospodarza, to mówiła, że nie chce masła ani sera, bo wie, że sami tego nie mają, ale prosi chociaż o parę kartofli. Ludzie, mimo że sami byli biedni, jednak dawali. Dzielili się tym, co mieli.

A co z Tyliszczakami?

W relacjach mieszkańców pojawia się opinia, że pochodząc z Jastrzębika nie można było nie mieć związków z Tyliszczakami. Wedle ich oceny można śmiało założyć, iż połowę mieszkańców wsi stanowili Tyliszczakowie. Ponieważ było ich wielu, dla rozróżnienia nadawano im przydomki: Paraniczyn, Z Horboka, Staroho Wita, Z Hory Kościowy, Wasko – Wania, Feciowy, Mikołajciowy, Demczyszyn, Łukackzowy, Andrijowy itp. Niektóre przydomki pochodzą od imion, niektóre od położenia gospodarstwa we wsi, funkcji urzędowej, na przykład Paraniczyn pochodzi od słowa paradny, honorowy, elegancki. W społeczności Jastrzębika znana była legenda mówiąca, że nazwisko Tyliszczak otrzymał ten, który przybył na „tyliszcze”, czyli przedniej części wozu.

Zajęcia

Podstawą egzystencji mieszkańców była praca na roli. Każdy próbował wyżyć z tego kawałka ziemi, jaki posiadał. Dokładnie to z kawałków, kawałeczków, nawet kilkunastu. Rozdrobnienie ziemi było ogromne, pola stanowiły mozaikę pasczków i skrawków. Zwiększająca się liczba mieszkańców wymagała pozyskiwania coraz większej powierzchni ziemi uprawnej. Karczowano więc lasy, aby zdobyć dodatkowy kawałek pola, coraz dalej od domu, coraz wyżej w górach. Praca toczyła się w zgodzie z odwiecznym rytmem natury i zmianami pór roku. W zasadzie rytm pracy od wieków się nie zmieniał. Ludzki wysiłek wspomagała siła zwierząt i prostych, głównie drewnianych narzędzi. Od wiosny do jesieni zajęcia skupiały się na pracy na roli; to decydowało o tym, czy uda się zebrać tyle plonów, by zapewnić spokojne przetrwanie do nowych zbiorów. W zimie następowała zmiana, wykonywano prace koło domu. Mężczyźni młócili cepami zboże, złożone po żniwach w stodole. Na środku stodoły znajdowało się ubite miejsce – boisko (klepisko). Młócono tyle snopków, ile ziarna było potrzebne na mąkę, a słomy do wykarmienia bydła. Co zamożniejsi gospodarze mieli już młockarnie (austriackie). Młockarnie napędzane były korbami przez czterech chłopów, tylko nieliczni mieli kariat.

Ze zbóż siano jedynie owies i trochę jęczmienia, jako płodozmian po „hrulach” (ziemniakach). Z jęczmienia robiono mąkę; w zasadzie to był śrut, czyli mąka z otrębami. Worek jęczmienia wieszono lub ciągniono na saniach do młyna, który jeden z Tyliszczaków miał Pod Jasiończykiem. Młyn był napędzany wodą z potoku.

Uprawiano też len, wykorzystywany do produkcji płótna. Wyrób płótna z lnu był długotrwały i pracochłonny. O tym, jakiego ten proces wymagał wkładu pracy, może świadczyć słowo „soroczka”, czyli koszula. Podobno pochodzi ono od słowa „sorok” (czterdzieści), oznaczając czterdzieści czynności, jakie trzeba było wykonać, aby z lnu zrobić koszulę. Proces przygotowania lnu rozpoczynał się od ręcznego oberwania główek

z siemieniem. Potem lnianą słomę wielokrotnie roszone i suszone. Następnie, używając odpowiednich narzędzi, poddawano tę słomę łamaniu (międleniu), gładzeniu i czesaniu, by w końcu uprząść z niej nici. Z tych lnianych nici na krosnach tkano płótno.

Wszystkie narzędzia do obróbki lnu były drewniane i wykonywane przez miejscowych „majstrów”. Jedynym urządzeniem lub podzespołem, jaki kupowano, była „naczalnicia”. Kupowano ją w Łodzi. Zamówienia dla mieszkańców wsi pisał mój dziadek, Atanazy (Aftan) Binczarowski (rocznik 1894), który należał do nielicznego grona osób umiejących czytać i pisać.

Tak więc niektórzy, oprócz prac w polu, zajmowali się wytwarzaniem potrzebnych ludziom narzędzi i urządzeń. We wsi był kowal, robiący lemiesz do pługów, osie i obręcze do drewnianych wozów; był także młynarz, a kilka osób specjalizowało się w szyciu.

Najbiedniejsza młodzież szła na służbę do zamożniejszych gospodarzy. Taki sługa zamieszkiwał u swego gazdy od wiosny do jesieni. Jako zapłatę otrzymywał mieszkanie i wyżywienie, a na koniec służby dostawał ubranie.

Koni we wsi było niewiele. W polu używano byków, a nawet krów.

Szkoła

W Jastrzębiku rodziny były wielodzietne. Rodzinę posiadającą pięcioro do dziesięciorga dzieci można uznać za typową. Przy 118 domach był więc Jastrzębik całkiem ludną wsią. Było też wiele dzieci w wieku szkolnym. We wsi działała szkoła z jednym nauczycielem. Przed wojną w szkole pracował Polak, Kazimierz Płachta, a czasie II wojny światowej młoda nauczycielka łemkowska z Uhrynia, Olha Witiak. Nauczyciel to był „człowiek instytucja”, nie tylko uczył, ale również sprzątał szkołę, palił w piecach itd. Klasy trzecia i czwarta przychodziły na rano, a w południe pierwsza i druga. Najciekawszy był system nauczania. Do pierwszej i drugiej klasy chodziło się rok, do trzeciej dwa lata, a do czwartej 3 lata. Przy czym co roku przerabiano ten sam materiał. Chodziło się więc do szkoły siedem lat, a kończyło cztery klasy.

Jak w jednej klasie mogły się pomieścić wszystkie dzieci?

Smutna prawda jest taka, że nie wszystkie uczęszczały do szkoły, a te, które się tam uczyły, opuszczały wiele dni, by pomagać rodzicom.

Święta

Mieszkańcy Jastrzębika należeli do kościoła greckokatolickiego i według liturgii tego wyznania obchodzili swoje wszystkie święta.

Święta, zarówno Bożego Narodzenia (Riztwa), jak i Wielkanoc (Welykoden), trwały trzy dni. W cerkwi w Jastrzębiku nabożeństwo odprawiane było dopiero trzeciego dnia, ponieważ ksiądz pierwszego dnia odprawiał nabożeństwo w cerkwi parafialnej w Złockiem, drugiego w Szczawiku, a dopiero trzeciego dnia przychodziła kolej na Jastrzębik. Księdza przywożono saniami lub wozem zaprzężonym w konie. Za jego sprowadzenie odpowiadali kolejni mieszkańcy; jeżeli nie mieli konia, to wynajmowali sąsiada z końmi. W dniu wigilii wyrąbywano w potoku przerebłę. Przed samą wigilią młodzi biegali

„na bosaka” po śniegu do potoku, wchodzili do wody, by się wykapać i szybko wracali do domów. Zmarznięte nogi owijano onucami i ubierano kierpce. W Wielki Piątek, w czasie procesji, wszyscy chłopcy stukali drewnianymi klapkami (kołatkami), czyniąc wiele hałasu. Z kolei w Wielką Sobotę chłopcy podczas procesji używali dzwonek. Często tych samych, które na co dzień nosiły pasące się krowy lub owce. Świąt było dużo; takie jak np. Świętego Jana czy Świętych Piotra i Pawła. Były to ważne święta cerkiewne, pobożnie obchodzone przez wszystkich.

Rozrywki

Latem wszyscy zajęci byli robotami polowymi, ale również w tym okresie odbywały się zabawy taneczne. Zimą było mniej pracy i wówczas więcej czasu poświęcano na rozrywki. Wśród młodzieży bardzo popularne były zimowe spotkania wieczorne, tzw. „Weczyrky”. We wsi było kilka domów, w których gospodarze chętnie gościli młodych. Panny zajmowały się przedzeniem wełny lub lnu, a kawalerowie dotrzymywali im towarzystwa, starając się wszystkich zabawić. Pod koniec zimy, na jej pożegnanie, organizowano większą zabawę „Łamanczak”. Było to symboliczne łamanie „kudeli” (kądzieli), na których dziewczęta przędły przez całą zimę.

Relacje z mieszkańcami Muszyny

Przed II wojną światową stosunki między mieszkańcami Jastrzębika i Muszyny były bardzo dobre. Nie było żadnych sporów, nienawiści, potyczek ani agresji. Ludzie z Jastrzębika nosili do Muszyny mleko i jego przetwory, wozili drzewo, chodzili je ciąć i rąbać, niektórzy młodzi służyli w zamożniejszych rodzinach muszyńskich. Oczywiście wszyscy zdawali sobie sprawę z wzajemnej odrębności, nie przeszkadzało to jednak żyć w całkowitej zgodzie, czy wręcz symbiozie. Może o tym świadczyć historia, która przydarzyła się mojemu ojcu (jednemu z dawnych mieszkańców Jastrzębika). W 1970 roku, gdy mógł już tutaj przyjechać, po raz pierwszy od wysiedlenia, wybrał się odwiedzić rodzinne strony, zabierając ze sobą trójkę młodych, urodzonych już na ziemiach zachodnich członków rodziny. Wynajęli w Muszynie na kilka dni pokoje. Starsza pani, właścicielka, poprosiła o dowód, ponieważ musiała przybyszów zameldować. Kiedy zobaczyła, że tato jest urodzony w Jastrzębiku, nie mogła się nacieszyć i nachwalić, jak im się dobrze żyło z Łemkami, jacy to dobrzy ludzie.

Wysiedlenie

Wysiedlenie wszystkich Łemków przebiegało w dwóch fazach. Pierwsza miała miejsce zaraz po wkroczeniu Armii Czerwonej do Krynicy (21 stycznia 1945 roku). Rozpoczęła się ostra nagonka i propaganda nakłaniająca Łemków do przenoszenia się na Ukrainę. Zachęcano ich obietnicami dobrobytu po osiedleniu się na Ukrainie, równocześnie straszono zapowiedzią prześladowań, jakie ich mogą spotkać, gdy zostaną. W efekcie akcji propagandowej i zastraszania 2/3 mieszkańców Jastrzębika wyjechało na Ukrainę. W większości zostali oni osadzeni we wsi Dobrowody, w powiecie

Monastyrska, w województwie iwanofrankowskim³. Z niektórych wsi, jak na przykład ze Złockiego, wyjechali prawie wszyscy mieszkańcy. Zdarzały się i takie przypadki, że ludzie w ostatnim momencie rezygnowali z wyjazdu. Mój dziadek, Aftan Binczarowski, był już z całą rodziną i dobytkiem pod Grybowem i w ostatniej chwili się rozmyślił i wrócił do Jastrzębika.

Te wyjazdy nie były w pełni przymusowe, ale na pewno nie można ich nazwać całkiem dobrowolnymi. Na Ukrainie zgotowano tym ludziom straszny los. Mój tato, będąc na Ukrainie w latach 70., dowiedział się prawdy o ich życiu. Po przyjeździe wszystkich zapędzono do kolchozów. Wkrótce zajął im w oczy taki głód, że musieli jeść pokrzywy i lebidę. Kiedy mój wujek w latach 60. przyjechał do Polski i zobaczył nasze gospodarstwo rolne i zapasy zboża, rozplakał się.

Drugi etap przesiedleń nastąpił w 1947 roku. Ludzie byli informowani wcześniej, że będą wywiezieni. Ciągłe docierały do nich przerażające wieści o kolejnych wsiach, jakie codziennie są wysiedlane. Mimo to ciągle nie wierzyli, że taka krzywda może ich spotkać. Mama mówiła, że jeszcze dzień przed wywozem poszła z babcią na pole plewić kartofle.

7 lipca 1947 roku przyszło wojsko i po dwóch godzinach ludzie musieli opuścić swoje domy i odwieczne ziemie. Szli pieszo, a dobytek – tyle ile się zmieściło, a ile zdołali zabrać – wieźli wozami. Razem z Jastrzębikiem wysiedlono resztę ludzi ze Złockiego, a także Cyganów. Pierwszą noc wysiedleńcy spędzili w Hucie (za Krzyżówką). Spali na wozach, pod gołym niebem. Drugiego dnia dotarli do Florynki. Wszystkie mijane po drodze wsie (Berest, Polany, Florynka, Binczarowa) były już opuszczone, sprawiały koszmarnie wrażenie. Czasami zajrzano do jakiegoś domu. W jednym z takich domów moi dziadkowie znaleźli święte obrazy, które do dzisiaj mam w pamięci. Trzeciego dnia dotarli na stację kolejową w Grybowie. Uformowano jeden długi pociąg, ciągniony przez dwie lokomotywy. Do każdego wagonu – węglarki, bez dachu, ładowano trzy rodziny. Zdesperowani ludzie zadaszanie robili z drabin i wozów. W dniu 15 lipca dotarli do Sulęcina w obecnym województwie lubuskim, i w tym powiecie zostali rozsiadani. Władze stosowały zasadę: w jednej miejscowości nie mogło się osiedlić więcej niż trzy rodziny, a także nie można się było osiedlać w miejscowościach leżących bliżej niż 50 km od granicy i 30 km od morza. Moi rodzice trafili do Sieniawy i Lubniewic. Niektórzy mieli mniej szczęścia, osiedlono ich w innych miejscowościach powiatu, z których po dwu latach (w 1949 roku) ich wysiedlono, zabierając gospodarstwa pod poligon. Zostali przesiedleni do Sulęcina; stąd Sulęcina stał się jednym z nowych centrów rodu Tyliszczaków. Mieszkańcy Jastrzębika znaleźli się w takich miejscowościach, jak: Łągów, Torzym, Pożrzadło, Gronów, Trześniówek, Malutków, Sieniawa, Wielowieś, Trzemeszno Lubuskie, Lubniewice.

Fakt wysiedlenia w połowie lipca był wyjątkowo bolesny, ponieważ wszystkie plony pozostały na polach. Z początku rodzina taty została przydzielona do PGR-u (wówczas mówiono „majątku”) w Sieniawie. Niestety, nie potrafili się jednak w żaden sposób

³ Iwano-frankowsk (Stanisławów) – miasto obwodowe w zachodniej części Ukrainy.

zaadaptować. Po 2 miesiącach pozwolono im szukać sobie osobnego domu z ziemią (gospodarstwa). Znaleźli takie w sąsiednim Zarzynie. W tym czasie, po dwóch latach od zakończenia wojny, wolne pozostały tylko zniszczone i zdewastowane domy. Domy w lepszym stanie zostały wcześniej zajęte przez osadników z centralnej Polski i Kresów Wschodnich. Dla Łemków pozostały tylko rozpadające się budynki.

Tęsknota za dawnym, na zawsze utraconym życiem była ogromna. Stąd też na każdym kroku starano się nawiązać kontakty z innymi wysiedlonymi mieszkańcami Łemkowszczyzny. Czasami, by spotkać „Swoich”, czyli towarzyszy wspólnej niedoli, pokonywano wiele kilometrów piechotą. Wysiedlenie nie było jedyną krzywdą, jaka spotkała Łemków. Część młodych mężczyzn musiała odsłużyć wojsko w batalionach górniczych, jako przymusowi górnicy. Mój tato właśnie tak odbył służbę wojskową – w kopalni. Dwa lata wykonywał najcięższe i najniebezpieczniejsze prace pod ziemią. Nigdy nie powiedziano mu wprost, za co go na tę robotę skazano. Jednak, sądząc po ilości spotkanych tam Łemków, łatwo mógł się domyślić. Byli jednak tacy, których potraktowano jeszcze gorzej. Mój wujek, Michał Tyliszczak, w czasie transportu, na postoju w Oświęcimiu, został uwięziony i przewieziony do niemieckiego obozu koncentracyjnego w Jaworznie. Po wielu miesiącach prześladowań i głodzenia został zwolniony.

Gdy przywieziono go do Sulęcina, nie miał siły wejść do sklepu, by kupić bułkę do jedzenia. Niestety, kilkuset jemu podobnych już nigdy z tego obozu nie wróciło. Powszechnym odczuciem mieszkańców Jastrzębika i innych Łemków był ogromna tęsknota za utraconymi „horami” (górami), które bezgranicznie kochali, oraz odczucie wielkiego żalu za niezasłużoną krzywdę i cierpienia, jakie ich spotkały.

Tak skończyła się historia Tyliszczaków w Jastrzębiku.

Przybyli na tę ziemię za zgodą i z błogosławieństwem jej włodarzy – biskupów krakowskich, przestrzegali nadanych praw i ciężką pracą, wyrывая kawałek po kawałku ziemię górom, stworzyli sobie tutaj warunki do życia. Żyli wśród nas 370 lat, tworzyli wspólnie z nami historię naszej małej Ojczyzny. W wolnej Polsce nie możemy o nich zapomnieć, winniśmy przywrócić o nich pamięć lokalnej społeczności.

Opowiadał Andrzej Krajniak, a opracowała i komentarzem uzupełniła Maria Zajączkowska



Krzyż w Jastrzębiku (fot. A. Krajniak)

Notki biograficzne autorów i ich powiązania z rodziną Tyliszczaków

Andrzej Krajniak

Syn Wacława Krajniaka i Tekli z domu Bińczarowskiej (mieszkańców Jastrzębika do 1947 roku), wnuk Anastazji z Tyliszczaków. Andrzej Krajniak ma lat 47; tak, jak jego trzej bracia oraz liczne grono kuzynów, urodził się już na Ziemiach Zachodnich. Wychował się w Zarzynie, w powiecie sulęcińskim. Następnie mieszkał i uczył się kolejno w Gorzowie Wielkopolskim, Wrocławiu oraz w Zielonej Górze. Ukończył studia, jest inżynierem elektrykiem. Od 1990 roku mieszka w Kanadzie, w Toronto. Jest żonaty i ma dwóch synów.

Specjalnej uwagi wymagają jego powiązania z rodziną Tyliszczaków. Andrzej Krajniak podkreśla, że dla osób pochodzących z Jastrzębika niemożliwością było nie mieć związków z Tyliszczakami. Tak więc jego najbliższą rodzinę stanowiło wiele osób pochodzących z Tyliszczaków:

- Babka – Anastazja z Tyliszczaków;
- Trzy siostry ojca wyszły za mąż za Tyliszczaków – Maria za Michała, Tekla i Hania za braci Michała i Szymona Tyliszczaków. Wszyscy, po wywiezieniu z Jastrzębika, mieszkali w Sieniawie Lubuskiej;
- Również dwaj bracia matki ożenili się z dziewczynami od Tyliszczaków. Jan, ożeniony ze Stefanią, mieszkał w Sieniawie Lubuskiej, a Mikołaj, ożeniony z Marią, w Dobrowodach na Ukrainie.

W ocenie Andrzeja Krajniaka jego związki z Tyliszczakami są dość typowe dla większości mieszkańców Jastrzębika.

Maria Zajączkowska

Urodziła się w Muszynie. Jej rodzicami byli Stanisława i Franciszek Tyliszczakowie. Pochodzi z tej gałęzi Tyliszczaków, których Władysław Buszek w opracowaniu *Rody Muszyny* zalicza do starych rodzin muszyńskich. Dzieciństwo spędziła w Muszynie, tutaj uczęszczała do szkoły podstawowej. Następnym etapem edukacji było Liceum Ogólnokształcące w Krynicy. Naukę kontynuowała na Politechnice Wrocławskiej. Ukończyła Wydział Chemiczny, następnie uzupełniła wykształcenie, kończąc studium podyplomowe z ochrony wód. Od wielu lat mieszka w Bydgoszczy. Pracowała w Zakładach Fotochemicznych „FOTON” i Zakładach Chemicznych „Organika – Zachem”. Była posłem na Sejm I i II kadencji. Obecnie jest na emeryturze, zamężna, ma dwoje dzieci i pięcioro wnucząt.

Z życiorysów obojga autorów widać, jak różnie kształtowały się losy rodu Tyliszczaków. Spotkanie tej dwójki możliwe było tylko dzięki Internetowi. Dzięki portalowi „nasza – klasa” i ich zainteresowaniu historią rodu pokonana została przestrzeń i czas, udało się opisać fragmenty z życia Tyliszczaków w Jastrzębiku.